ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. | niedziela 15 kwietnia 1934 r. | Nr. 16

Andrzej Mikułowski

Proroctwa H. G. Wells'a

Jesienią roku zeszłego narobiła sporego hałasu nowa książka zawodowego proroka współczesnej Anglji, H. G. Wells'a. Dzieło to, pod obiecującym, choć niepozbawionym pewności siebie tytule: „Kształt rzeczy, które mają nadejść" (The Shape of Things to Come) była nawet dość szeroko omawiana w naszej prasie, ponieważ drobiazgowe przewidywania fantazji autora umiejscowiły przypadkiem ognisko wybuchu przyszłej wielkiej wojny właśnie w Polsce. Niepotrzebnie jednak krytyka nasza kruszyła kopje w obronie honoru narodowego, dyskutując ten jeden szczegół, bo nie on jest punktem ciężkości dzieła, ale z dużą drobiazgowością wypracowany obraz przyszłości świata, owoc wielu wizyj w przeróżnych utopjach tego epigona wiktorjańskiego kultu postępu i „materjalizmu idealnego". (Ludzie jak bogowie, Sen i t. p.).



Wiek XIX w karykaturze: Przy gramofonie. (Rys. John Held jr.).

Ostatnie proroctwo, to już nie dalszy krok w kierunku wizjonerstwa wyimaginowanego, ale raczej upadek, starcze uporczywe powtarzanie myśli oddawna już przebrzmiałych, podpieranie sztucznie sfabrykowanemi przybudówkami walącego się gmachu wizji XIX-go wieku. Dlatego też teraz właśnie może byłby czas rozejrzeć się w całym „utopijnym" dorobku H. G. Wells'a, spojrzeć na nowe marzenia z odległości dawnych, skonfrontować poszczególne przepowiednie.

Najlepszym sprawdzianem proroctwa i rozstrzygnięciem wszelkich sporów między prorokami jest sama rzeczywistość. I dlatego warto spojrzeć trzeźwem okiem rzeczywistości, w której żyjemy, na urojenia, które snuł sobie o niej obecny nestor proroków, Wells, wtedy, gdy jeszcze patrzył w przyszłość młodemi oczyma entuzjazmu, a nie rezygnacji. Krytycy, omawiający nowe dzieło, wspominali dawne proroctwa, nie cofali się jednak do jednego z pierwszych: książki, która ukazała się p. t. „Anticipations" w r. 1901, a nawet doczekała się polskiego przekładu. Wyszła mianowicie p. t. „Wizje przyszłości" w r. 1904, jako dodatek do Tygodnika Ilustrowanego, w przekładzie Jana Kleczyńskiego. Obraz przyszłego świata w mniej szczegółowym zarysie podany, niż w ostatniem obszernem kilkusetstronicowem dziele, jest jednak dość pełny, by stanowić całość, jakże różną od tego, na co obecnie patrzymy. Wells jest pewny niezawodności swej wizji; powiada nawet, że „przepowiadanie w obecnych czasach powinnoby być gałęzią filozofji i trzymać się ściśle metody naukowej".

Punktem wyjścia jest komunikacja — przewrót, jaki w niej nastąpił i jeszcze nastąpi, spowoduje zasadnicze zmiany w budowie świata, a nawet w budowie psychiki człowieka. W dziedzinie techniki nastąpią dalsze rewolucje. Nie jest zupełnie niemożliwe wynalezienie sposobu kierowania balonami i „bardzo jest prawdopodobne, że już około r. 1950 kwestja ta, dzięki tylu usiłowaniom genjalnych mechaników i aeronautów, zostanie rozwiązana". Jednakże autor nie przypuszcza, żeby aeronautyka wpłynęła kiedy poważnie na komunikację. „Człowiek bądźcobądź jest stworzeniem lądowem i chociażby nie wiem jak długo bujał pod obłokami, musi wkońcu powrócić na ziemię". Balony staną się tylko straszliwem narzędziem wojny i unosząc się nad wojskiem wroga będą wskazywały jego słabe punkty artylerji, a naprzeciw nich będzie nieprzyjaciel wysyłał swoje „rekiny napowietrzne", jak je autor nazywa. Walka w powietrzu, opisana w mrożącym krew w żyłach obrazie, ukazuje nam balony, rzucające się na siebie i usiłujące się nawzajem przebić ostrogami. Z chwilą zwycięstwa w powietrzu, na ziemi będzie już łatwa sprawa.

Komunikacja wpłynie na bardziej równomierne rozmieszczenie ludności i odciążenie wielkich miast, a potem na przegrupowanie wewnętrzne narodów. Ludzie zdolniejsi, o wyższych aspiracjach, czyli inteligencja, utworzą własne narody, pozostawiając bezproduktywnych kapitalistów i jednostki mniej wykształcone samym sobie. Wreszcie klasy niepotrzebne wyginą, lub zostaną zgładzone przez ludzi przyszłości, uważających za najszczytniejszy obowiązek zabijanie niedołęgów i chorych, i wtedy powstanie państwo przyszłości, Państwo Świata. Większą część książki zajmuje proces ewolucyjny, prowadzący do tego ostatecznego celu, wizja państwa przyszłości, zarysowana tylko najogólniej, zamyka całość.



H. G. Wells.

Jednakże nie kwestja słuszności przepowiedni jest najciekawszym punktem „Wizyj przyszłości"; patrzymy z lekkiem pobłażaniem na straszliwe obrazy wojen balonowych, tak jak i teraz z pewnem pobłażaniem czytamy o szczegółowych projektach ustroju Polski przyszłości. Kiedy czytamy „Wizje", stają nam mimowoli przed oczami obrazki w tymże Tygodniku Ilustrowanym, do którego proroctwa H. G. Wells gratis prenumeratorom dodawano. Balony, unoszące się z trudem z pola wyścigów konnych na oczach rozentuzjazmowanych tłumów, i śmiałe, wyemancypowane damy, jeżdżące na bicyklach w długich, obfitych sukniach.

I uderza nas zgodność owych nierealnych wizyj z realnym duchem przeszłości. Obraz państwa przyszłości, to obraz widziany oczami wiktorjanina, zapatrzonego w postęp, którego granice ginęły za nieprzeniknioną ścianą przyszłości i dlatego zdawały się nieskończone. Wiktorjanin, pełen optymizmu gentleman, widzący wkoło siebie rosnący dobrobyt materjalny i z coraz większą szybkością zdobywaną przez człowieka władzę nad siłami przyrody, przed sobą widział równy i szeroki gościniec ku szczęściu ludzkości, a na drodze mu stały tylko „przesądy i zacofanie", które miał nadzieję łatwo przezwyciężyć. Największym skarbem człowieka jest wiedza — toteż ludzie przyszłości będą to inżynierowie i lekarze. Oni stworzą sobie własną sztukę, własną etykę, opartą na wiedzy zawodowej i będą żyć w coraz większym dobrobycie, jako cel najwyższy mając pełny rozwój jednostki. Bóg będzie czczony w państwie przyszłości, ale człowiek nie jest zdolny Go pojąć, ani poznać Jego celów. Na istnienie zaś życia pozagrobowego nie mamy naukowych dowodów...

Wiedza, postęp, wszechwładza „inteligencji zawodowej", nieograniczony dobrobyt materjalny — jesteśmy dziś naocznymi świadkami walenia się w gruzy tych ideałów. Szczęście człowieka zaczyna przybierać w naszych marzeniach już inne kształty. Coraz częściej zwracamy się do przeszłości, szukając w niej oparcia. Do tej samej przeszłości, którą Wells usuwał ze szkół swej Utopji, widząc w niej tylko brzemię i balast, zatrzymujący człowieka w drodze do postępu. A przecież marzenia proroka wiktorjanizmu o przyszłości nie były niczem innem, jak owocem pragnień teraźniejszości i niezadowolenia z przeszłości.

Przyszłości nie można objąć, ani zrozumieć, bo przyszłość nie istnieje. Obraz, jaki sobie tworzymy w naszej wyobraźni, wizja przyszłości, to tylko mozaika sklejona z odłamków zburzonej przeszłości. Dlatego też lektura książeczki Wells'a jest dla nas cennem doświadczeniem. Jest bowiem wiernem odbiciem światopoglądu końca wieku XIX, jego wierzeń i dążeń, jego etyki i ideałów. Nawet krajobraz państwa przyszłości jest typowy dla wyobrażeń późnowiktorjańskiej Anglji, a bodaj także całej Europy z lat dziewięćdziesiątych:

„Szerokie przestrzenie, ogrody pełne kwiatów, kokieteryjne wille na stokach pagórków, rzeki wijące się po łąkach i ginące w cieniu drzew. Dalej grupa domów, bardziej zbliżonych do siebie, z ogrodem spacerowym pośrodku, z estradą dla muzyki... Nie sądzę również, żeby tam miały zniknąć uroki wsi. Obok dróg nowych będą musiały istnieć dawniejsze — dla koni i podrzędnych przewozów. Małe uliczki, ścieżki, polne kwiaty, wszystko to zachowa swój czar".



Wiek XIX w karykaturze: Niebezpieczeństwo na drogach publicznych. (Rys. John Held j.).

Łatwo nam sobie wyobrazić tę sielską wieś z wyasfaltowaną ścieżką, obsadzoną z obu stron polnemi kwiatami, a na niej kmiotka na bicyklu. Cały sentymentalizm i cieplarniany ideał komfortu końca XIX w. jest w tym opisie. Nie daje nam tych wrażeń ostatnie dzieło starego wiktorjanina. Nie może on się wyrzec swych młodzieńczych wizyj, a doświadczenie przeżytych lat nie pozwala mu na pozostawienie ich w pierwotnym stanie. Ostatnie dzieło jest kompromisem i dlatego nie jest wizją.

Kiedy patrzymy na marzenia przeszłości o przyszłości, mimowoli nasuwa się nam porównanie z utopją współczesną, napisaną prawie jednocześnie z ostatnią książką Wells'a. Mowa o „Nowym wspaniałym świecie" Huxley'a. Porównanie tych dwóch utopij nasuwa nam pewne myśli o różnicach epok, do których należą ich twórcy. Utopja jest jedną z najcharakterystyczniejszych form literatury angielskiej od Thomas'a More'a (Utopia) poprzez Samuela Butlera (Erewhon) i innych do Aldousa Huxley'a. Wyrażały się w niej światopoglądy i dążenia różnych czasów w rozwoju starej Anglji.

Różnica między dwiema nowemi utopjami, to różnica między wiktorjaninem a współczesnym Brytyjczykiem. Pierwszy patrzy śmiało w przyszłość, pełen energji i optymizmu, który każe mu przepowiadanie zaliczyć do nauk ścisłych. Proroctwa jego, to poważne i śmiało wypowiadane twierdzenia. Oparte są na mocnym światopoglądzie materjalistycznym, sprecyzowanym i pewnym siebie. Brak im może tylko poczucia humoru. Huxley nie próbuje patrzeć w przyszłość. „Nowy, wspaniały świat", satyra o ironicznym tytule, doskonale obrazuje postawę współczesnego Anglika. Postawa to ironiczna, sceptyczna, negatywna, pozbawiona właściwie ideałów. Widzi całe zło i cały błąd pokolenia poprzedniego, ale może im przeciwstawić tylko własny gorzki uśmiech. W gruncie rzeczy postępowy Wells tkwi o wiele mocniej w tradycji. Huxley przekreśla wszystko i zajmuje postawę wyczekującą.

Czeka z nim razem cała Anglja współczesna.

Wojciech Wasiutyński

Z duchem czasu

Niech żyje wolność!

Wyobrażam sobie już, jakie przerażenie wywołać musi w czytelniku ten tytuł. Jest on przerażająco banalny i oklepany, jak łopatka Amerykanina (Amerykanie, przynajmniej w powieściach, ciągle klepią się po łopatkach).

Polacy powtarzają ten okrzyk w różnych warjantach od połowy piętnastego wieku conajmniej, z takim uporem, jak żaden inny naród.

I to właśnie nasunęło mi myśl, czy przypadkiem niema w haśle wolności źdźbła słuszności. Tak jest, źdźbła! Bowiem opaskudzone jest to hasło do niemożliwości. W starszych pokoleniach ma jeszcze jakiś walor, stary, pachnący lawendą i ziołami. W młodszych jest do tego stopnia zdyskredytowane, że gdy chcemy mówić o wolności, to unikamy tego słowa starannie, zastępując je „niezależnością", „niezawisłością" lub nawet „dobrowolną hierarchją".

A jednak, jeżeli jakiś naród kultywuje jakieś hasło przez pięćset lat, to przez to samo nadaje mu niezniszczalną wartość (nie mieszać niezniszczalności i nieziszczalności — te pojęcia niekoniecznie są nierozdzielne).

Więc rehabilitujmy wolność. Ale w takim razie musimy zacząć od ataku na liberalizm.

Oto jest grabarz wolności i wróg ludu! Z wolności zrobił pierwszą część szyldu podejrzanej firmy „Liberté, Égalité, Fraternité & C-ie, Société Anonyme", pomylił wolność naszą i waszą, z czego wynikło, że wasza miała służyć „naszej" i z przyzwoitego ideału zrobił ordynarny komunał.

Kiedy wogóle pojęcie wolności ma sens?

Gdy jest czemuś przeciwstawione, gdy wyraża jakiś kierunek, spełnienie jakichś tęsknot naturalnych, jakieś „refugium". Ten rodzaj wolności w Polsce jest szczególnie znany:

„Szlachcic na zagrodzie
równy wojewodzie".

„Wolnoć Tomku
w swoim domku".

„Ten pan, zdaniem mojem,
kto przestał na swojem".

Nie śmiejcie się z tych przysłów. One bardzo dobrze wyrażają istotę wolności. Szlachcic jest panem na swojej zagrodzie, ale nie jest nim w grodzie wojewódzkim. Tomkowi wolno robić, co mu się podoba, ale u siebie, nie u sąsiada, ani na królewskim dworze, ani w Sejmie, ani w urzędzie, ani na wojnie, ani na drodze publicznej. Ten jest pan, kto w obrębie swego państwa pozostaje i tak długo, jak tam pozostaje.

To są przykłady wolności prawdziwej. A przykład wolności fałszywej, wolności liberalnej, wolności wolnościowej, słowem — wolnościowości? (To ostatnie słowo najlepiej oddaje po polsku znaczenie i posmak wyrazu: liberalizm).

Na ten przykład: demokracja parlamentarna. Jestem wolnym obywatelem. I mam prawo wybierać takiego posła, który mi obieca, że przeprowadzi ustawę, iż się wywłaszczy plac mego sąsiada Agapita i zrobi tam ogródek. (Tak w niedawno granej komedji „Towariszcz" bankier obiecuje przez wdzięczność lokajowi, że mu da emeryturę na starość, a oburzonej swej żonie tłumaczy, że przecież nie zrobi tego z własnej kasy, tylko przeprowadzi w parlamencie nowelę do ustawy ubezpieczeniowej). Otóż, mój poseł może to przeprowadzić z tym ogródkiem. I teraz wołam: gdzie jest wolność Agapita? Albo lepiej, niech będę teraz Agapitem: gdzie moja wolność? Muszę teraz iść do przyjaciela, który ma przyjaciela w rządzie, który tymczasem otrzymał pełnomocnictwa ustawodawcze, i postarać się, żeby tego Atenogenesa (tak się nazywałem w pierwszym wypadku), mego sąsiada teraz, psiakrew, wywłaszczyli i założyli tam basen. I teraz wołam: gdzie jest wolność Atenogenesa? Albo lepiej (przyjąwszy, że ja znów jestem Atenogenesem): gdzie moja wolność? Liberalizm te rzeczy sankcjonuje: „Masz babo — placet".

Otóż wolność naruszenia wszystkiego, to nie jest wolność, tylko swawola. Liberalizm, jest to program swawoli i niewoli, zmieniających się kolejno w myśl zasady: „Raz na wozie, raz pod wozem", a dla przeciętnego człowieka, przepraszam — obywatela, zazwyczaj nawet: „Raz podwoziem, raz nawozem".

To odwrócenie odbywa się albo drogą zmiany większości w parlamencie, albo drogą zamachu stanu, ale to już kwestja techniki.

Pod względem zasad wolności Polska sanacyjna jest typowo liberalna. Wielu ludzi myli tylko różnica, polegająca na tem, że obywa się bez uchwał prawomocnych, czyli, że jest to liberalizm nieprawomocny, ale zawsze liberalizm.

Jak będzie więc wyglądała wolność prawdziwa?

Człowiek wolny, to nie jest człowiek, który wybiera sobie władze, tylko człowiek, który wie, że jak władze będą chciały zaglądać mu w garnki na kominie, to im drzwi przed nosem zamknie. Człowiek wolny, to nie jest człowiek, który nie ma zwierzchnika, tylko człowiek, który ma odwagę odmówić wykonania bezprawnego rozkazu.

Wolność liberalna dlatego tak nam obrzydła, że dzieli ona ludzi na dwie płynne grupy: swawolnych Dyziów i niewolnych Dezyderych (od — dezyderat). Prawdziwa wolność, to wolność Tomka.

A więc:
Precz z liberalizmem!
Już słyszę, jak wołacie:
Precccccccccccccccccccz!
Niech żyje wolność!
Już widzę wasze rozwarte gęby, gdy krzyczycie:
Niech żyjeeeeeeeeeeeeeeeeee!

Stefan Balic'i

Historja podwójna o fabrykancie Jurewiczu

Nie, nie można pisać o nim opowiadania. Nie można tego człowieka włóczyć po miejscach, w których nigdy nie był i przytaczać słowa, których nigdy nie mówił...

Jakże to było naprawdę?

Oto mała mieścina galicyjska, pełna niefrasobliwie kręcących się ulic, kiepskich domów. Ludzie uśmiechają się do siebie od rana i dotykają przy powitaniu ronda zatłuszczonego kapelusza. Z ulic najlepsze maniery ma ulica Tkacka, długa jak trasa biegu naprzełaj, zabudowana drewnianemi willami. Olbrzymie, a jednak wytworne kształty tych willi stanowią troskę poważnych obywateli miasta, którzy przed niemi stają w zadumie.

— A ja panu mówię, że wszystko to kiedyś stanie się pastwą pożaru.

Ale wille piętrzyły się lekkomyślnie, niby domki z kart, naprzekór rozsądnym obywatelom miasta, i pożar ich się nie imał mimo, że pioruny bijały tu nieraz prawie tak głośno, jak w dalekich, dużych miastach.

Handel odbywał się od rana do wieczora, wszyscy się tu znali i na kupienie guzika traciło się godzinę czasu. Przemysł miejski natomiast reprezentował malutki Jurewicz, który stale gniewnie prychał.

Przechodził ulicami krokiem znacznie szybszym, niż to było w mieście przyjęte, i znikał w parterowym domku, zaopatrzonym na dachu w blaszaną rurkę niegrubszą od laski spacerowej. Zaraz potem z owej rurki wylatywał w gwałtownych pyknięciach dym. Jurewicz fabrykował obrazki w metalu..., a może tylko palił fajkę i dym wydmuchiwał? Albo prychał gniewnie na całe miasto, które nie miało zrozumienia dla jego pracy?

Późnym wieczorem pykanie słabło. Rozległy się na zakończenie dwa słabsze, zniechęcone wydmuchy, i fabryka stawała. Jurewicz zamykał się w swoim kantorze i prowadził obliczenia.

Straty! Same straty. Ubiegłego miesiąca oddalił stróża. Czy to był stróż? Bóg wie, jak go nazwać. Przybłąkał się jakiś bezrobotny, przywabiony czkawką dziwacznej rurki i pytał o robotę.

— Roboty? Szukacie roboty?— spytał Jurewicz.

Był nieprzytomny ze szczęścia. Oto zgłaszają się do niego po pracę. Ileż to nocy przemarzył daremnie, każąc po swej łysej głowie wędrować najbardziej niedorzecznym obrazom. Przeczytał czasami wiadomość o strejku w jakiejś prawdziwej fabryce i już opadały go wizje.

Oto złowrogi szum robotniczego tłumu przed jego fabryką. Pięści uniesione wgórę. Wrzask, zajadłe kłótnie i schrypnięty głos paru agitatorów. (Zupełnie mętnych głów). Ale wreszcie nadjeżdża on. W czemże nadjeżdża? A raczej na czem? Na rowerze. Skromnie opiera rower o ścianę i, przeciskając się przez wzburzony tłum, staje na tarasie.

— Towarzysze.

Zrywa się grzmot protestów. Ruchomy kostkowy bruk głów tańczy pod naporem buntowniczych serc. Nie, nie chcą go słuchać. Za żadną cenę.

— Towarzysze.

Głos jego spokojny, ale silny i stanowczy, ucisza wszystkich. Głowy nieruchomieją. I teraz oto na skłębione bałwany wylewa się gorąca oliwa jego słów.

— Towarzysze! Dziś, gdy kryzys zatacza coraz szersze kręgi, zbrodnią byłoby...

Powiedział tylko sześćdziesiąt słów. Nie więcej. A potem na ramionach rozentuzjazmowanego tłumu robotniczego wjeżdża do fabryki. (Schyliłby się trochę, żeby nie uderzyć głową o drzwi).

— Do pracy! Wracamy do pracy! Pod hasłem „metalowe arcydzieła sztuki w każdym polskim domu". Precz ze strajkującymi! Precz!!

— Szukacie więc roboty? — spytał głośno.

Potem położył dłoń na ramieniu swego brata, swego bliźniego i serdecznie oznajmił:

— U mnie ją znajdziesz.

Ostatecznie za wikt i mieszkanie (stara kanapa w kantorku) robotnik zgodził się do pracy. Pracował przedtem w składzie trumien. Wszelako trumny umiał robić dla ludzi najbardziej nawet wymyślnego kształtu. Ale cóż to szkodzi? Nauczy się i nowej roboty. Dostał więc drelichowy mundur koloru zielonego i taką czapkę z napisem: „Jurmetal". Chodził po mieście i okolicznych wsiach z plecakiem, pełnym obrazków w metalu. Ale po miesiącu podziękował za pracę. Poprostu ze wstydu. Nikomu się nie podobał w nowym mundurze. A już najmniej małym obywatelom miasta, którzy w rozmaitych tonacjach odczytywali głośno skrót fabryki Jurewicza z czapki jedynego robotnika. Spoczątku uganiał się za nim, potem, coraz smutniejszy włóczył się ulicami miasta. Gdy wreszcie w poszukiwaniu powinowatego zaczepił go z bełkotem i śmiechem popularny warjat miejski, Jasiu Duj, pracownik firmy Jurmetal runął do fabryki i począł się pośpiesznie rozbierać.

— Postępuje pan lekkomyślnie. Jak Boga kocham, lekkomyślnie — tłumaczył łagodnie Jurewicz.

— Wolę zdechnąć pod płotem, niż pracować w takiej cholernej fabryce. Jakbym psiakrew goło chodził po rynku, toby ludzie tak nie ryczeli. Oddaj mi pan moje ludzkie portki i prawdziwą czapkę.

— Weź pan swoje nędzne łachmany — rzekł smutno Jurewicz — wypowiadam panu pracę.

Po tych słowach Jurewicz oddalił do pokoiku, stanowiącego halę maszyny, niewiele ciekawszej od maszynki do kawy.

I otóż straty. Znowu same straty. Przedsiębiorstwo właśnie zaczęło się rozwijać. Najął przecie robotnika, zalążek przyszłych tłumów i sprzedał jakiemuś przejezdnemu proboszczowi dziesięć Madonn Rafaela pięknie na czerwonawej blasze wytrawionych. Gdyby Rafael ujrzał owe Madonny, niewątpliwie podniósłby wysoko brwi. Ale proboszcz był małym, spokojnym człowiekiem, który na oczy nie widział obrazu Madonny Sykstyńskiej. Proboszcz odjechał, robotnik uciekł. Tchórzliwie uciekł z placówki, mającej świetne warunki rozwoju.

Jurewicz wracał późnym wieczorem do domu, trawiony gorzkiemi rozmyślaniami. Pustą ulicę Szopena przeszukiwał wielki, okrągły księżyc. Stały tu parterowe, murowane domy, starannie od siebie odgrodzone i sobiepańskie w dzień. Porozumiewały się teraz nocą ze sobą, gawędziły scicha, a księżyc pękał ze śmiechu, oparty wygodnie o nieruchomy, zębaty obłok. Tylko właśnie jeden dom Jurewicza stał wypłoszony na koniec ulicy, smutnie owinięty walącym się parkanem, na który księżyc ku większemu urągowisku powywlekał jakieś stare szmaty.

Jurewicz zapalił w kuchni lampę i spojrzał na skołtuniony łeb pogrążonej w śnie służącej. Muchy zabzykały niespokojnie na oknie i pod sufitem.

— Wszystko jedno — myślał Jurewicz — wszystko jedno. Właściwie nie obmyślał tych słów ani ich nie wypowiadał. Tylko na migi tłumaczył swemi ślamazarnemi ruchami. Inwestycje. Kapitał. Oto, co mogło uratować przedsiębiorstwo. Ułożył się w łóżku i zaszeleścił gazetą.

— Już przyszedłeś? — ozwało się sennie łóżko żony.

Jurewicz z gniewem rzucił gazetę na podłogę.

— Proszę cię! — krzyknął — wstań i przekonaj się, czy to ja jestem. Co mam ci odpowiedzieć? Więc tak! Przyszedłem! Wróciłem do ciebie. Masz swój skarb spowrotem.

Łóżko żony zachrobotało i westchnęło krótko, lecz beztroskliwie.

— To jest okropne — rozmyślał Jurewicz, podnosząc gazetę — gdy jutro wstanę, zapyta mnie czy już wstałem. Gdy piję kawę, pyta, czy już jem śniadanie. A gdy ja, jedyny w tem mieście większy człowiek, umrę, zapyta: czy położyłeś się już do trumny? Oślica — mruknął głośno — jak wszystkie kobiety.

Nagle nałożył pantofle i szlafrok i ruszył do pokoju córki.

— Nie śpisz jeszcze, Ewuś?

— Poco się tatuś pyta? Chyba to widoczne, że nie.

— Tak. Nie śpisz. Czytasz, jak widzę. Romanse otumaniają młode głowy. Ale nie o tem chciałem z tobą mówić.

— Wiem o czem tatuś chce ze mną mówić. Ale teraz wolałabym spać — Ewa ziewnęła.

— Dla ciebie to kwestja obojętna, a dla mnie to sprawa życia i śmierci. Muszę śledzić ten czarny zygzak, po którym leci mój los. Wiesz, że wieczorem twój złoty ząb wygląda zupełnie tak, jakby go nie było. Ale nie o tem chciałem mówić. Cóż, był dzisiaj?

— Kto?

Jurewicz pokiwał gorzko głową.

— Kto, kto. No, zgadnij kto? Wiesz przecie, że pytam o Krzysztofowicza.

— Owszem, był Krysztofowicz

— Byłaś dla niego uprzejma?

Ewa podciągnęła kołdrę pod szyję i patrzyła na ojca, jak na krzesło, o którem wiadomo, że nawet w dzień ostateczny nikomu dobrowolnie z drogi nie ustąpi. Nie potrafi ustąpić.

— Był uprzejmy dla mnie. Nawet oświadczył się...

— I? — krzyknął Jurewicz, porywając się z krzesła.

— Przyjęłam go.

— Bóg ci nagrodzi, moje dziecko. Bóg ci nagrodzi. — Jurewicz padł na kolana. Potem zamilkł i, przysiadłszy na piętach, dodał ze zdziwieniem — a ta oślica nic mi nie mówiła.

— Jaka oślica? Co ojciec wygaduje? Proszę tak bardzo nie dziękować. Wyjdę za niego, bo chcę wyjść. Przekonałam się, że to nie tak łatwo zakochać się.

— Miłość — zawołał Jurewicz — tak, to nie łatwa sprawa. Trzydzieści tysięcy. Muszę dokupić dużo materjału. Czy wiesz, że Szrajbmann sprzedaje swoją kamienicę? Teraz idzie serja wielkich mistrzów szesnastego wieku.

— Dobranoc — rzekła Ewa z akcentem rozdzierającej nudy.

— A więc jednak jest lepiej — mówił do siebie Jurewicz — jest znacznie lepiej. Inwestycje. Od jutra z nową energją do pracy.

Wrócił do swego pokoju i, stanąwszy przy łóżku, oparł się o poręcz. Patrzył na pościel, na której zostawił odcisk swej postaci i pomyślał, że to kokon, z którego w tej chwili wyleciał piękny motyl.

— Dlaczego mi nic nie mówiłaś?

Ale łóżko żony nie odpowiedziało. — Co słychać? Jak tam dzieci? — pytano go nie raz. Odpowiadał:

— Syn nicpoń, a córka nie wychodzi zamąż. A nareszcie obrócił sterem. Córka wychodzi zamąż, a fabryka przychodzi do sił. — Oślica — zgrzytnął jeszcze pod adresem nabrzękłej stopy, wychylającej się z sąsiedniego łóżka.

I pan Krysztofowicz, wdowiec, właściciel paru kamienic, ożenił się istotnie z córką fabrykanta Jurewicza, panną Ewą. Wiadomość niewiarygodna. Zakochał się czy jak? — gubili się w domysłach obywatele miasta. Ale sprawy późniejsze potoczyły się zupełnie inaczej, niż to sobie Jurewicz wyobrażał. Obraz salonów mieszczańskich, fortepianów w tychże salonach i mnóstwa obrazków w metalu na tychże fortepianach, zbliżył się tylko poto, by czmychnąć, jak pociąg, który z niewiadomych przyczyn, nie zatrzymawszy się na stacji, uleciał w noc. A ogłupiali podróżni długo jeszcze na peronie stoją z otwartemi ustami i ciężkiemi walizami w rękach.

Pan Krysztofowicz, po ostrzeżeniach młodej żony, pokazał zaledwie skrawek swego bogactwa. Rzucił mu czterysta złotych i zniknął wraz z żoną zagranicą. I tak lawina nowych zdarzeń była tylko pustą grą pięknych chmur. A cały pożytek, to ból w karku od zadzierania głowy.

Od tego dnia Jurewicz opuszczał głowę coraz niżej. Garbił się i patrzył wdół. Zauważył to, o czem dawno wszyscy widzieli. Że ziemia jest czarna. Urodził mu się trzeci potomek, ale i to wydarzenie nabrzmiało tylko na chwilę nowemi nadziejami, by pęknąć i rozwiać się w pył dni.

Tymczasem płomień nie imał się ulicy Tkackiej, ludzie uśmiechali się do siebie od rana, dotykając ręką ronda zatłuszczonego kapelusza, małe i wielkie wydarzenia odzywały się to głośniej, to ciszej. Czasem rynna spadła w czas wichury, czasem muchę zabito na ścianie, czasem człowiek leciał głową wdół i nie powracał.

Pewnej nocy wybrał się Jurewicz do swojej fabryki i, rozejrzawszy się podejrzliwie, zniknął szybko w kantorku. W pół godziny później wyszedł, wlokąc za sobą ostatnie arcydzieło. Autoportret olbrzymich rozmiarów w metalu. Pod autoportretem było mnóstwo tekstu: „Jurewicza scnjora, nieustraszonego bojownika przemysłu artystycznego, mauzoleum".

Wrócił do hali maszyny i, wylawszy pokaźną ilość nafty...

— — — — —

Nie, nie można o tym człowieku pisać opowiadania. Fałsz byłby aż nadto oczywisty. Jurewicz, długoletni pączek, nie zakwitł purpurowym kwiatem ognia, lecz rozwinął się w pożyteczną głowę kapusty.

Owszem, fabryka spłonęła. Wszystkich mogę zapewnić, że tak było. Ale śledztwo wykazało, że fabrykę podpalił miejski warjat Jasiu Duj. A Jurewicz, otrzymawszy pokaźną sumę ubezpieczeniową, stracił szacunek dla swej uszłej z dymem duszy. Nie prycha gniewnie na nikogo, wieczory ma spokojne, oddycha głęboko po każdym łyku wina. Lubi towarzystwo młodych kobiet i dlatego w dzień oczy ma zmęczone, lecz piękne.

Daremnie starałem się umieścić wawrzyn na łysej głowie Jurewicza. Wawrzyn spadł i zadzwonił srebrem, po które Jurewicz skrzętnie się schylił. Wolicie tę prawdę? Weźcie ją.

Dla siebie chowam inną.

Gdy miasto zaśnie i czarna szmata mroku zaścieli ulice, wówczas między domkami w zygzakach, to przystając, to śpiesząc pełga siny język błędnego ognika. Wszyscy śpią. Jeden Jurewicz czuwa. Wyskakuje oknem z łóżka i rzuca się w pogoń, która trwa aż do świtu. Dlatego w dzień ma oczy zmęczone, lecz piękne.

L. Ciechanowiecka

Kult ziemi

Jest taka miła, smutna piosenka Łuskiny o murzyńskiem dziecku, które pożarł krokodyl nad Nilem. Kończy się ona zwrotką: — „A choć z oczów czarnej matki — gorzkie łzy pocieką — nic nikogo to nie wzruszy — bo to tak daleko..." Otóż dzieje chińskiego chłopa Wang Lunga i jego żółtolicej żony O-lan, opowiedziane przez amerykańską autorkę Pearl Buck*), chociaż dzieją się „tak daleko", wzruszą, napewno wzruszą każdego.

Przeciętny, szanujący się Amerykanin i Anglik odnosi się do kolorowego człowieka mniej więcej tak, jak owe panny dorobkiewiczówny z „Malheurs de Sophie" małe panny Tournebroche w stosunku do ubogich dzieci. Słyszałam raz Amerykanina dyskutującego na temat Chin, który chcąc położyć kres niewygodnej rozmowie — oświadczył krótko — „Ci kolorowi ludzie to zwierzęta. Człowiek nie powinien sobie nimi zaprzątać głowy". Takich ignorantów, jak ów Babbitt jest więcej w krainie wuja Sama, toteż Pearl Buck, autorka przepięknej opowieści o prostym chińskim chłopie, jest jakąś Amerykanką z nieprawdziwego zdarzenia.

Nie jest to czułostkowa przyjaciółka „dzikusów", która stylizuje swoich bohaterów, chcąc ich przeciwstawić Europejczykom. Nie — Wang Lung i O-lan są ludźmi niepozbawionymi wad, prostaczkami hołdującymi straszliwemu bóstwu, które zwie się zabobon, a które żąda od nich ofiar, i zbrodniczych praktyk. Zresztą umówmy się. Do Chin nie dotarła jeszcze wszędzie Dobra Nowina — toteż to, co się u nas zbrodnią zowie, tam uważane jest za haracz, spłacany naturze. Dzieciobójstwo, handel dziećmi w okresie klęsk głodowych, nieświadome torturowanie kobiet, które traktuje się, jak zwierzęta pociągowe i skazuje się je na dożywotnie harowanie, w warunkach, o których pojęcia nie mają europejscy parjasi — to są zjawiska codzienne, zwykłe, powszednie i wytłumaczone koniecznością.

Książka Buck jest niezmiernie pouczająca. Autorka opisuje swoich bohaterów prosto, bez patosu, jakby bezosobowo; w książce jej nie ma ani jednego komentarza, ani jednej osobistej uwagi — ukazuje nam wieś chińską jakby na ekranie, ale ten wierny, nieozdobny obraz ma głęboką wymowę. Postacie Wang Lunga i O-lan urastają do rozmiaru symbolów. Ci ludzie borykający się przez życie całe z nędzą, z wrogiemi żywiołami w kraju, ponad którym srożą się tajfuny i ulewne deszcze podobne do potopu, gdzie co lat kilka zjawia się widmo głodu i dziesiątkuje ludzi, a niedobitków zmusza do ucieczki — gdzie gliniane lepianki wzniesione pracowitemi rękami zamieniają się w kupę błota, a uprawiane w pocie czoła pola w posępne jeziora.

Ileż hartu i jakiejś obłędnej miłości do ziemi trzeba mieć — aby wytrwać w tych warunkach, aby nie wyrzec się okrutnej ojczyzny. A jednak — nie ma siły, któraby zdołała wykorzenić z duszy Wang Lunga i jemu podobnych usiłowania własnej ziemi, odziedziczonej po przodkach, któraby zmusiła ich do odejścia w inne strony. Wracają — wracają zawsze chociaż tam na południu stragany uginają się od ryb, owoców soczystych, worów złocistej pszenicy i fasoli, a w krainie Wang Lunga w okresach głodu ludzie żywią się plewami i korą z drzew, a nawet padliną.

Chłop chiński kocha ziemię aż do bałwochwalstwa. Nie boi się śmierci, gdyż po śmierci wróci do ziemi, z której wyszedł, a wtedy „nikt mu już jej nie odbierze". To jego religja. Czciciel ziemi, jak tego dowodzi Buck, potrafi się zdobyć na heroiczne wysiłki, gotów ponieść dla niej śmierć męczeńską, nie ma ofiar, których dla niej nie uczyni.

Pierwsza część książki, to dzieje nędzarza, który z pasją, zaciąwszy zęby i nie wypuszczając z garści pługa, wędruje kamienistą drogą ku dalekiemu, upragnionemu celowi. Tym celem jest — ziemia. Zdobyć jaknajwięcej ziemi, utrzymać ją za wszelką cenę, nie dać jej sobie wyrwać.

Ogromnie wnikliwie i z niezwykłą znajomością duszy chińskiego chłopa przedstawiona jest ewolucja Wang Lunga, jako stopniowe przeobrażenie się z nędzarza w dziedzica. I tutaj znowuż okazuje się dobitnie, iż złoto jest istotnie owym demonem, o którym mówił Axel-Munthe, który gubi dusze ludzkie. Wang Lung i O - lan, to bohaterzy na antyczną zakrojeni miarę, dzieci ich, paniczyki bezrobotne — to już dusze słabe, zdolne do wszelkich kompromisów. Złoto wnosi niepokój do domu, niszczy harmonję małżeńską, budzi w duszy Wang Lunga demony, co w niej się czaiły. O - lan — matka rodu, najwierniejsza z żon, jedyna podpora Wang Lunga musi ustąpić miejsca zwyrodniałej ale powabnej karlicy z domu publicznego. Z chwilą gdy wszystko to, co znajdowało się poza sferą życia nędznego chłopa staje się czemś dostępnem i osiągalnem, kończy się ciężki, lecz radosny okres. Wang przestaje być w zgodzie z samym sobą, a więc traci spokój i szczęście. Następuje w nim dziwna przemiana. Ten cichy, prostoduszny wieśniak, który w milczeniu dźwigał jarzmo pospołu z małomówną, wierną niewolnicą - żoną, niezdolny do świadomego okrucieństwa, z natury prawy i wspaniałomyślny, staje się pod wpływem namiętności tyranem i samolubem. Sczasem jednak wyzwala się spod wpływu złych mocy i wraca do umierającej towarzyszki, z którą łączyły go nierozerwalne więzy wspólnego umiłowania ziemi.

Ci parjasi chińscy, odcięci od cywilizacji i kultury chińskim murem przesądów, mają w sobie niespożytą moc, która czyni z nich postacie symboliczne. Jakże wzruszający jest ich stosunek do śmierci. Śmierć w Chinach jest odejściem w nieznany, tajemniczy świat. Do ostatniej podróży trzeba się przygotować, a najlepszym na to sposobem jest obcowanie w ciągu ostatnich dni pobytu na ziemskim padole z trumną, z owym wehikułem, który nas odwiezie w krainę ciemności. Wzrok umierającego spogląda z rozrzewnieniem na czarną, drewnianą skrzynię, stojącą obok łoża, dusza sposobi się do drogi. Żałobne uroczystości są jakby dalszym ciągiem porozumiewania się żyjących ze światem demonów i dusz zmarłych.

Niejeden Europejczyk mógłby nauczyć się od ciemnego, chińskiego chłopa sztuki umierania. Kodeks żałobny obok śmiesznych cech, zawiera również głębszą myśl, chodzi przecież o zatrzymanie na ziemi, przynajmniej przez pewien czas wspomnienia tego, który odszedł, skąd niema powrotu. Chiński pogrzeb nie kończy się typą, podczas której dokonywa się sekcji duszy nieboszczyka — najnędzniejszy człowieczyna, który niewiele miejsca zabierał na ziemi — po śmierci nabiera powagi i dostojeństwa, jest już bowiem duchem, z którym należy się liczyć jako z istnością wyższą.

Błogosławiona ziemia jest powieścią cykliczną. Kończy się tragicznym akordem — ojciec podsłuchuje rozmowę synów, którzy noszą się z zamiarem sprzedania ziemi. Jest dla nich ciężarem.

„— Starzec usłyszał jeno słowa: „sprzeda się pole".

— Niedobrzy synowie, darmozjady — krzyczał gniewnie — sprzedać pole wam się zachciewa?

Byłby upadł, gdyby nie to, że synowie podtrzymali go. Starzec rozpłakał się, jak dziecko. Zaczęli go więc uspakajać, mówiąc: — „Nie... nie... niema mowy o sprzedaży. Nigdy się nie wyzbędziemy ziemi..."

— Koniec. To kres wszystkiego — padały z ust Wanga strzępy zdań. — Przecież myśmy wyszli z ziemi i musimy wrócić do niej.

Po wychudłych policzkach Wanga toczyły się łzy, zostawiając palące ślady. Pochylił się i wziąwszy w garść trochę ziemi, powtórzył:

— Jeżeli sprzedacie ziemię, to będzie koniec... kres wszystkiego...

Synowie podtrzymywali go, on zaś ściskał w dłoni ciepłą, sypką ziemię. Pocieszali go i powtarzali wkółko:

— Uspokój się ojcze... Nie obawiaj się... Nie sprzedamy ziemi...

Ale Wang nie widział, że zamienili ponad jego głową porozumiewawcze spojrzenie i uśmiechnęli się do siebie".

W następnym tonie „Synowie" Buck opisuje dzieje synów Wang Lunga - dziedzica i stopniowe przeobrażenie się chłopskiej psychiki w potwornem laboratorjum — miasta.

Pierwszy tom „Błogosławiona Ziemia" jest niewątpliwie niezwykle udaną próbą przeniknięcia tajemnicy Dalekiego Wschodu — zaś jako utwór literacki, zajmie książka Pearl Buck wybitne miejsce w literaturze egzotycznej ostatnich lat.

*) PEARL BUCK: Błogosławiona ziemia. Warszawa, 1934. Tow. Wyd. „Rój".

Karol Irzykowski

Mgły na Parnasie

Poniższy artykuł Irzykowskiego wygłoszony był jako odczyt radjowy, stąd zawiłe zagadnienia poezji nowoczesnej, przedstawione są tu w formie bardzo popularnej. (Red.).

Kto w Warszawie często i niezbyt prędko chodzi ulicą Piękną, dziś Piusa XI, może zauważył ciekawą menażerję, która się mieści na zewnętrznym murze trzypiętrowej kamienicy pod l. 5, stojącej niedaleko naprzeciw gimnazjum żeńskiego. Jest to mur od ogrodu, ale widać go zdaleka; rudy od cegieł i cały obrośnięty dzikim winogradem, który wspina się po nim aż do samej góry gęstą siatką i stanowi naturalne osiedle dla miejskiego ptactwa. Ono tu pobudowało sobie gniazdka wśród szczelin i pnączów, nie płacąc podatku mieszkaniowego, i w lecie od rana widać, jak cała ta wielka ściana drga, trzepota się i świergoce, piszczy, ćwirka, gwiżdże, dźwięczy, śpiewa, — nieraz z siłą, która przygłusza ogólny hałas miejski i huk samochodów ciężarowych, toczących się ulicą. Śpiewają sobie ptaszęta (poprostu wróble) gwarnie, wesoło, bezczelnie; śpiewają swoje urbanistyczne piosenki, bez cenzury, jeden przez drugiego; może się naradzają, może sobie plotki miejskie opowiadają, może flirt odchodzi, może się z sobą kłócą; może młode pokolenie wychowuje starsze, jak to bywa między ludźmi; może partje polityczne przekonują się wzajemnie, a może poprostu tylko wiecznie koncertują, zadowolone z siebie, od parteru aż do najwyższego piętra.

Ilekroć tamtędy przechodzę, myślę sobie: to współczesna poezja polska! Taka liczna, taka gwarna, taka z siebie zadowolona, i tak, niestety, ignorowana przez publiczność. Dziesiątki małych tomików, w każdym ze dwadzieścia, trzydzieści utworów, wylatuje corocznie w obojętny świat, trzepoce się jakiś czas w powietrzu, odśpiewuje swoją nutę, czasem zadziwi lub zaniepokoi jakiego słuchacza, a częściej słuchaczkę, ale jeżeli nie zwróci na siebie uwagi zrzędnego krytyka, — przepada gdzieś w nicości, to znaczy w magazynie księgarza i musi zniknąć, aby ustąpić miejsca nowej czeredzie śpiewaków, już opierzonej i wylatującej z gniazda.

Tomiki! tomiki! tomiki! Ładne, zgrabne; tak dużo białego papieru na marginesach, a w środku niewiele wierszy, snać bardzo ważnych, skoro naokoło nich taka białość — coś jak folwarczek wśród wielkiego krajobrazu zimowego. Wszak Państwo znacie te książeczki, mieliście je nieraz w rękach; możeście nawet czytali to i owo, z sympatją, z lekceważeniem, z westchnieniem do własnej, już sfilistrzałej duszy. Ci poeci dzielą się na grupy, klasy, szczepy, które się czasem buńczucznie nazywają. I pomówimy sobie tutaj o jednej takiej grupie, która się nazywa Awangarda.

Dlaczego Awangarda? Dlatego, że wybiegła bardzo naprzód, kuje nowe środki poetyckie, a pogardza staremi, ryzykuje niepowodzenie, oziębłość, nawet śmieszność, i spodziewa się, że utoruje drogę, jeżeli nie sobie to innym, szczęśliwszym, że wydobędzie nową muzykę z nowych instrumentów.

Głównymi poetami Awangardy są: Tadeusz Peiper, Juljan Przyboś, Adam Ważyk, Jalu Kurek, Jan Brzękowski. Gdy się ich utwory do ręki weźmie i zacznie czytać — no, to się zacznie, ale się nie skończy. Są trudne, nie można ich tak odrazu zrozumieć. Są jak szklane góry, bardzo kolorowe i błyszczące, — ale wdrapać się na te góry nie można, bo — jak się to mówi — niema o co zaczepić paznokci. Awangardziści wydają się spiskowcami, jakby mieli jakieś swoje tajemnice, jakieś umówione szyfry, któremi się z sobą porozumiewają, ale niewtajemniczonemu trudno się tak odrazu dostać do wnętrza tych tajemnic. Trzeba mieć klucz, trzeba się nauczyć te utwory czytać. I wtedy można z nich mieć przyjemność.

Wracając do naszego początkowego porównania z ptakami, powiemy, że trzeba być jak ten Zygfryd z opery Wagnera. Zygfryd wszedł w las pełen ptaków, które mu chciały coś powiedzieć, ale ich nie rozumiał. Dopiero gdy zabił smoka i krew smoka nań trysła, język ptaków stał się dlań dostępny — tu poproszę pana pianistę, żeby zagrał odpowiedni motyw! — i wdzięczne ptaki powiodły go do raju, bo do miejsca, gdzie spała uśpiona przez Wotana cudna Brunhilda.

Otóż i my musimy być tym Zygfrydem i zabić jakiegoś smoka. Jakiegożby tu? Ano tego smoka niechęci, uprzedzenia i lenistwa, który w nas drzemie. Czasem tego próbowałem i czasem też udawało mi się zakraść do tych zaklętych skarbów, w sposób jakby przypadkowy, nielegalny. Ale się opłaciło. Weźmy utwór Juljana Przybosia p. t. „Lipiec". Przyboś jest poetą bardzo utalentowanym, mistrzem metafory i skrótów. Jego utwory to jak tabliczki buljonu, takie są zgęszczone. Lecz my sobie to rozpuścimy trochę w wodzie. Otóż utwór „Lipiec" opisuje, jak po skończonej nauce uczniowie rozjeżdżają się na wakacje, żegnają profesora poetę, a profesor wyjeżdża na wieś, oddaje się widokom przyrody i odpocząwszy, pragnie prowadzić takie życie, jak Jan Kochanowski z Czarnolasu. A teraz przeczytamy sam utwór:

Na świadectwach, wzbici w radość,
[odlecieli uczniowie,
jeszcze wiatr drży po ich śmigłym
[zniku.

Wakacje, panie profesorze! Pora
trzepać wesoło słowa, jak futra na
[wiosnę
oraz
czasowniki przez lato odmieniać!

(Tu odstęp i profesor już jedzie).

Wóz przetoczył się znagła —
[i w łozinie zzieleniał.
Tylko pustki rozpryśniętej w słońcu
[— udar.
Skacząc z bryczki, zaoczę:

Bosonogi gęsiarek biegł, zaczerpnął
[ze źródła,
Znikł, jakgdyby on wybiegał
potoczek.

(Teraz profesor oddaje się życiu sielskiemu):

Okolicę, serce wyniosłe, przeszywa
[naprzestrzał
strumień!

Lecz z połogich pagórków —
[wahającą się odpowiedź —
inne wzgórza — dalszą górę kołysze.
Jak ten skryty poryw widoku i ciszę
[zatuloną w szumie
szeptanemi pytaniami — wydać?

Jakże w cieniu, pod lipą —
[przysłowieć?

Tu koniec. Spróbuję niektóre trudniejsze ustępy wytłumaczyć. Zrobimy takie maleńkie ćwiczenie literackie.

(Tu znowu motyw z „Zygfryda").

„Na świadectwach odlecieli uczniowie". Bardzo ładnie! Przecież się mówi o człowieku zacietrzewionym, że jedzie na koniku swojej doktryny, mówi się o wzbogaconym paskarzu, że wyjechał np. na skórze, na dostawach. Więc „na świadectwach odlecieli uczniowie" będzie zrozumiałe. I zarazem zauważcie Państwo to zagęszczenie: skupia się tu i moment otrzymania świadectw, i moment odjazdu uczniów, i moment ich dumy, bo świadectwa są spewnością znakomite. Wszystko to złączone jest w fantastycznem wyobrażeniu: „na świadectwach odlecieli" — tak, jak Duglas Fajerbanks, złodziej z Bagdadu, leciał na dywanie.

Potem czytamy: „Pora trzepać wesoło słowa, jak futra na wiosnę". Znowu zagęszczenie. Mówi się przecież: „trzepie językiem, trzpiota się", gdy kto dużo i szybko gada, a taki jest właśnie jazgot rozjeżdżającej się młodzieży. Ale tu „trzepać" użyte jest nietylko w tem znaczeniu przenośnem, powiedzmy: moralnem, — lecz także w znaczeniu niemal dosłownem. Słowa trzepie się, jak futra na wiosnę — bo w atmosferze szkolnej te słowa niejako zatęchły, zastygły, więc się je odświeża.

Trudne jest wyrażenie „czasowniki przez lato odmieniać". Ale czasowniki w szkole **odmienia się** przez liczby i osoby (konjugacja), rzeczowniki **odmienia się** przypadkami i liczbami (deklinacja) — więc tutaj „czasowniki", czyli wogóle czynności, odmieniać się będzie przez lato, przez dni letnie; słowo „odmieniać" użyte jest i w znaczeniu gramatycznem i w znaczeniu moralnem, bo to znaczy także, że cały sposób życia podczas wakacyj **się odmieni.**

Teraz śliczny, prawie wizyjny obrazek: Bosy pastuszek, biegł, napił się wody ze źródła, a potem się gdzieś zgubił, i poeta mówi: „jakgdyby on wybiegał potoczek". Jak to należy rozumieć? Otóż tak: poeta najprzód zobaczył pastuszka, a dopiero potem, gdy pastuszek „znikł", poeta zobaczył strumyk i to zrobiło na nim takie wrażenie, jakgdyby pastuszek zamienił się w strumyk, „wybiegał go", czyli obudził go swoim biegiem. Być może, że pastuszek biegł brzegiem owego, w pierwszej chwili niewidocznego strumyka, w górę do źródła; tu gdzieś przepadł, a poeta dopiero teraz strumyk zobaczył, i w jego wyobraźni skojarzyły się te dwa odrębne fakty w związek przyczyny i skutku. Nie rozumiecie? A przecież rozumiecie, co to znaczy, że kogut wyobraża sobie, iż on swojem pianiem budzi słońce. Zarozumiały kogut posuwa się w swej pysze do takiej metafory; mógłby powiedzieć: „ja wypiałem słońce". A tutaj: pastuszek wybiegał potoczek.

Nie mam już czasu, żeby Państwu jeszcze inne trudności tłumaczyć, i śpieszę już do końca. Poeta, upojony widokiem strumyka, który nazywa sercem okolicy, tudzież widokiem łańcucha pagórków, które wznoszą się na horyzoncie, jakby kołysały się wzajemnie lub jakby rozmawiały ze sobą, — wpada w zadumę i wzdycha: „Jakże w cieniu, pod lipą — przysłowieć?" Otóż sławna jest lipa, pod którą Kochanowski z Czarnolasu odpoczywał i pisał wiersze, — ta lipa weszła w przysłowie. Poeta, pan profesor, marzy o takiem życiu przynajmniej na czas wakacyj, i sądzę, że wszyscy mu tego z serca życzymy.

Cały utwór — to świetne, świeże **primawista wakacyjne**, nie wakacje całe, lecz pierwszy, radosny ich akord — właśnie **lipiec.**

A tego pastuszka, który wybiegał potoczek, warto zapamiętać.

Miłosz Gembarzewski

Rozmowa z Lwem Tołstojem

Nasz głos postawiony wysoko,
Nie ogarnie go żaden las.
I wszechmocne światła oko
Nie obali, nie przejrzy nas.

Koleiny w lekko zmarzłej drodze,
Cudzym śladem, nie prowadzą w dom.
Największemi wiorstami i w trwodze
Leży równin odwalony złom.

Jeśli wiemy, że niema przepaści,
I skał niema, gdy cośkolwiek wiem —
To już, starcze, w ręce twoje naści:
Wyrok, że czyn jest dobrem lub złem.

A świadomość źródlisko przewidzi,
Patrząc w ziemi łożnicę, tu —
Gdzie Słowianie poczęci nie żydzi, —
I sprzeciwi się złu!

Tutaj, drogi rozszczepione w widły.
Starcze, może trza rozstać się nam;
Zanim pąków wiśniowych maidły
Na skroń naszą strzęsie listny błam.

Niedeptanem pustkowiem idziemy,
Przez jutrzejszą kwietnią ruń;
Gdzie wybiegnie, w łąk wolne teremy,
Ogłupiały śmieszny, chłopski kuń. —

Nieme i przemarznięte zagony.
Lecz w rubaszki jedwab kryjesz głos;
A towarzysz twój — odcień czerwony,
Już nam nie towarzyszy, jak los.

Oziminy kosmyki się kurczą,
Rwanym sznurkiem odsuwa się las,
Kłębów schlapłych mgłą obrazoburczą
Zawiej stąpa wdali — objąć nas.

Duszotracom czerńcom ciepło w nogi,
Gdy się kopiem przez czyścowy śnieg,
Co jak wielka tratwa bez załogi
Spływa kędyś w przyuralski brzeg.

Czasem zerwie się masztem, kominem;
Sił pancernych grzmi niestrojna gra;
I artysty krwią: Wereszczaginem,
Z oceanu ściemnionego łka.

W pancernika lodowego schronie,
Brat nasz pokrył białym żaglem stół
I rysuje, jak w białym kartonie,
Maszt, zawiany śniegiem w ćwierć... już wpół.

Żywo, starcze! zadymkowej chustce,
Nie opędzim się, gdy wyje ćma,
I spuszczona ze smyczy, w tej pustce,
Dokoluśko nagonka po — szła!

Nie myśl za kim i czemu ganiają.
Ciemny szum, lekki trzask, spieszny świst.
Jednym błyskiem, a niejedną stają,
Z tropu w tropy leci gończy list.

Inne były kiedyś gony nasze,
Sięgające w człowieczy cel,
Rozpłynione nie po nizkiej łasze —
Całem niebem, nad topiel i chmiel.

Ty o swojej bolesnej przemianie,
Nakłonionym w życie swoim śnie,
I o myśli, krzepnionej w spełnianie,
Najrodzinniej opowiedz mnie. — ...

Tak. Jest w życiu nasz ból niedowiarczy;
Potem, prawdy żalem kryta nać.
A to wszystko, gdy życia nie starczy
Nam jednego, żeby siebie dać.

Powiedz, dziś, nad ojczyzny twej głodem,
Dawne, wielkie słowa... (Szept i żal).
Więc ramieniem, jeśli wiecznie młodem,
Elektrowną piramidę spal!!

Choć uporne wabiłeś marzenie
O mistycznem pojęciu cnót:
W pięknie — doskonałości wyższenie,
I cel sztuki widząc, by wznieść lud.

Prawdy się dowiedziałeś: w ucieczce,
Na stacji Ostapowie, w przedśnie;
Zadziwiony spojrzałeś ku steczce:
— „Tylu ludzi—wy, o jednym Lwie?"

Niema ludzi — albo jest za wielu.
Nie ostąpi tłum i żaden las.
A człowiecze sądy, przyjacielu,
Nie obalą nie przejrzą nas.

Lud wie tylko, że my śpiewający,
Ale jeszcze nie ogląda słów.
Kto wie jednak, może nędzarz drżący
Dziś nas wyda, na wagę głów.

Ot wyje, hallakuje wieś cała,
Jakby w cerkwi klęknął wilczy polk.
Lecz na drodze, co nagle zniemiała,
Nie wiem, czy lepszy człowiek, czy wolk?

Duchotwórcy my — do upadłego —
Taką myślą schyleni, bez tchu;
Jednak dzisiaj żołnierski kolego,
Sprzeciwimy się złu.

Przeciw tobie, Lwie dawny, z mogiły;
I choć twardy Puszkina cień,
Jako Jeźdźca Spiżowego bryły,
Skacze gromem w odmieniony dzień;

Choć już w moje ramiona się wpiera,
Metalicznem kopytem, głaz...
My w imieniu Chrysta bohatera!...
Ostaliśmy bez rany i skaz.

Sprzeciwimy się złu, choć samotni.
I wystarczy nasza mocna gra.
Gdy w torfowisk grzęź i w czar paprotni,
Za chłopami nagonka po — szła!

Nawiązane są wąwozy w węzeł;
Rzeki - liszki suną w bór i w błoń;
Jakby miota pendzlem tyle przęseł
Leonarda artysty dłoń.

W krajobrazie takim, w niepokoju,
Mkniemy życiem, i aż w ból, aż w los.
Patrzę w ciebie, grafie Lwie Tołstoju,
Tyś odwrócił się, i nagle wzrósł.

A przed tobą piramida milczy;
Elektrowny, z sztyków świetlnych ront,
Opłacony przez chłopski głód wilczy.
I ty rzucasz! w niego kamień - lont.

Pod wierzchołek, z którego wyleci,
W stratosferną czerń, nad kopuł sklep
Wzdęty całun, skrywający dzieci,
Zmarłe, nim w chacie biały był chleb.

A ja tobie mówię, patrząc w oczy,
Że najgorsza właśnie chwila jest.
Gdy już wiemy, jak los się potoczy,
Jak wysnuje myśl, i dźwięknie gest.

Gdy przewidzieć można losy własne,
I wypełniać tylko swoje dnie.
A to wszystko, gdy życie za ciasne
Nie wystarczy tobie ani mnie.

Więc do braci naszej idziem silnie,
Za czerwono - zielony słup;
Co podchodzi sam, cicho, przychylnie;
Już, kłoniący cień do naszych stóp;

Rozłamany w dwa mocne ramiona;
Już, gotowy — krzyżownie nas wziąć.
Ręce kładziem na szorstkie bierwiona,
Aby wznieść się, i cokolwiek bądź —

Wyjrzałem za spojrzenie twych oczu, —
Czytelniku, powierzchni słów.
I widzę! Jeszcze więcej, w otoczu;
I ciebie, Lwie Tołstoju, znów.

Wysoko jest na męce, i mądrze;
Ponad wiorsty szerokie tło.
Tkwiąc w martwego i żywego jądrze,
Poznajemy dobro i zło

Mówię tobie, ja sprzeciwiony
Wszelkiej złości, aż po życia zczez,
Że, wprost mnie, grają wierzb bujne trzony—
Chrystus wskrzesł.

Adolf Nowaczyński

Proboszcz wśród... Polaków

DWA TUZY I KSIĄDZ.

Takie dwa tuzy nowomodnej, nowoczesnej, najnowocześniejszej literatury, jak amerykański O'Neill i jak francuski Martin du Gard, dali w ostatnich najostatniejszych swych dziełach, z datą 1934, jako bohatera czy główną postać swych utworów... proboszcza! Księdza! „Klechę", czyli „okupanta", jak za Boyem powtarzają panowie Rogowicz, Zrębowicz i inne sanacyjne Syny Wdowy, okupujące dziś ...i polskie „Radjo".

Roger Martin du Gard z „Nouvelles Litteraires" dał proboszcza w powieści „La Vieille Françe", wydanej u Gallimarda. J. O'Neille dał proboszcza w sztuce p. t.: „Days without End" (Dni bez końca), granej w awangardowym, czystoliterackim, nowojorskim Guild - Theatres.

Ponieważ Warszawa od roku 1916 otoczona jest t. zw. ejruwem, to jest niewidzialnym, symbolicznym drutem, zaznaczającym, że to jest stolica nietylko jakichśtam Polaków, przeto ani „Days without End" nie będą grane w żadnym polskim teatrze, ani „La Vieille France" nie będzie na polski język tłumaczona, tak jak nie została tłumaczona na polski za karę przedostatnia powieść Wellsa, (w której rozpustna Baruchówna gra fatalną rolę), jak też nie będzie tłumaczona na polskie ostatnia powieść Pawła Moranda „France la doulce", dająca galerję kryminalistów i criminaloidów żydowskich, i tak, jak nie jest tłumaczonych na polskie cała moc książek nowych, ciekawych, jak Sigridy Undset, jak rosyjskich powieściopisarek: Wojnowej i Rachmanowej, i hiszpańskiego laureata, Jacinto Benavente, i nowa powieść Pucciniego („Ebrei') i sto (100) książek innych. Galopem natomiast tłumaczy się tonnę sieczki obskurnego żydowskiego komiwojażera, Egona Erwina Kischa, czy Kitscha: „Oblicze Azji Sowieckiej", i galopem, na obstalunek antykwarza Fruchtmana z Świętokrzyskiej, posłusznie reklamuje to któryś z exparyskich gargotowych esprifortów trzeciej sorty.

O... proboszczach Martin du Garda i O'Neilla dowiadujemy się z francuskich tygodników i równocześnie także z polsko - żydowskich perjodyków, których pośpiech informacyjny, różnorodność barwność i dobór tematów omawianych, powinien stać się raz wreszcie wzorem dla innych, poczciwie nudnych, monotonnie swojskich, rodzimość li-tylko po raz setny przeżuwających, przeraźliwą jałowością odstręczających resztki czytelników żywych, żyjących, o dobrej woli, ale i o kończącej się już cierpliwości...

PROBOSZCZ MARTIN DU GARDE'A.

Zalecany przez całe lata przez naszych, dzisiaj już skamandarynów literackich, Martin du Garde dał zdaje się całkiem satyryczny przekrój czy przegląd Francji terenowej, to jest prowincjonalnej, wiejskiej, skondensowany w jednej takiej przeciętnej wioseczce Maupeyron. W galerji sylwetek tych wieśniaków, co „żywią i bronią" przeważnie same paskudy i obrzydliwce, do szpiku kości materjalistyczne, laicystyczne, chciwe na grosz i marne; największa gadzinka, listonosz wioski, Joigneau, filar wyborczy obozu lewicowego, jeden z tych miljonów citoyenów, którzy parlament (Folies Bourbons) zapełnili sutenerami i cambriolerami. A w tem małem mrowisku chłopskiem jedyny człowiek na obraz i podobieństwo Boskie, prêtre, zbied, niały doszczętnie, istny Trapista i poverello, nowałujący przez 35 lat to bezbożne bydło do zastanowienia się nad sensem życia, zapraszający ich do kościała, ale bezskutecznie. Kościół jest z roku na rok pustszy, tak w tej komórce organizmu III-ciej Republiki, jak i w innych. Ksiądz Verne zginąłby z głodu, gdyby nie ogródek i króliki.

I autor cyklicznych „Les Thiebault" opisuje 35-letnią Gehennę tego jedynego obnosiciela i apostoła wartości duchowych w tej gromadzie dwunogów. A z tej galerji konterfektów znać pono już wyraźnie powrót samego Martin du Garda „do wiary przodków... „Thiebaultów", żarliwych purytańskich katolików, śwród których sam sibie ongiś jako Jacquesa opisał.

PROBOSZCZ O'NEILLA.

Drugą niespodziankę nastręcza największy dziś dramatysta i reformator teatru w Ameryce, autor „Cesarza Jonesa"..., „Helenie jest do twarzy w żałobie" i wielu innych utworów scenicznych, z których niektóre grane były we... Lwowie. Nowy dramat O. Neilla jest zdaje się bardzo osobisty i bardzo symptomatyczny. Już jego wystawienie w teatrze awangardowym, protegowanym, odwiedzanym i otoczonym morzem nowojorskiego, bankierskiego, oświeconego, a skroś amoralnego i satanicznego „jahudim", jest wprost fenomenem. Jeszcze większym fenomenem treść i bohater dramatu, powieściopisarz, który przedziwne perypetje przechodzi z ukochaną żoną, i któremu stale w sztuce towarzyszy mistyczny sobowtór, jego własna podświadomość. Ten powieściopisarz John dla bardzo skomplikowanych psychicznie powodów, chce się pozbyć ukochanej żony i w tym celu pisze... powieść odtwarzającą ich współżycie, w której zabija swoją żonę, popychając ją do śmiertelnej grypy.

Dajmy teraz głos i zacytujmy tygodnik żydowski, który pierwszy pośpieszył się z relacją z tej nowojorskiej premiery convertyty:

„Zjawia się stryj, skromny proboszcz wiejski, którego John od lat nie widział, i zmusza go do opowiedzenia jemu i żonie treści swego utworu. Z tego dowiaduje się żona, iż mąż zdradza ją z najserdeczniejszą przyjaciółką, „właśnie dlatego, że ją tak kocha" i z tego samego powodu pragnie ją zabić. W rozpaczy wybiega nie patrząc przed siebie z domu w noc, i akurat! — przeziębia się mocno i zapada na ciężką grypę. Stryj - ksiądz, który już w poprzednich aktach usiłował Johna nawrócić do Boga, co zawsze szyderczo przyjmowane było przez „podświadomość" — klęka w zwątpieniu i modli się o pociechę niebios, żona umiera, John walczy ze swem drugiem Ja, wreszcie ucieka do świątyni. Nastrój mistyczny, ponure, gotyckie sklepienia. John próbuje się modlić. Ja wyśmiewa go, walczy z nim, — wreszcie zwycięża. Zła Jaźń z mefistofelesowskim śmiechem zapada pod ziemię wraz z pierwszem słowem modlitwy: zjawia się również stryj-kaplan i przynosi pomyślną wiadomość, że żona szczęśliwie przeszła kryzys choroby.

W JEDNYM MIESIĄCU.

Taką rolę gra „skromny proboszcz" w nowym utworze scenicznym największego dziś dramatysty amerykańskiego. Żydowski tygodnik dodaje do tego, że jest to już upadek talentu, że „wulgarne efekty" i że sztuka O. Neilla „nie będzie miała wielkiego powodzenia".

Bardzo to możliwe, panowie z „Lektury", ale nie w tem rzecz, nie o to chodzi. Niech sobie powodzenia nie ma, ale fenomen nie przestaje być fenomenem, że najbardziej rewolucyjny dotychczas, najbardziej pogański, ongiś bluźnierczy autor amerykański—w postaci księdza katolickiego daje najwyższe kryterjum moralne, przeciwstawiając jego siłę satanicznej podświadomości (duchowi materji), że modlitwą (modlitwą!) rozwiązuje węzeł dramatyczny, no, i że taką... staromodną koncepcję ośmiela się sprezentować publice amerykańskiej, skroś indyferentnej, spasłej, pijackiej, zbydlęconej, a tak bezlitośnie świeżo scharakteryzowanej przez najautentyczniejszego eksperta, bo przez genjalnego Czermańskiego, kilka lat już z tą bogatą hołotą obcującego.

Ergo w jednym tylko miesiącu marcu r. 1934 dwie takie niespodzianki: Martin du Gard i O'Neill, obydwie z krajów religijnie zobojętniałych, indyferenckich, laicystycznych!

A JAK U NAS?

Jakżeż zaś to teraz jest u nas w t. zwanym narodzie katolickim w jego piśmiennictwie dzisiejszem?...

Akurat leży na biurku wydany na luksusowym papierze, a dwa złote (sic!) kosztujący, gruby i gruboskórny paszkwil na duchowieństwo, nakładem Związku Nauczycielstwa Polskiego. Jeszcze nie rozszedł się 600-stronicowy dla najzdrowszych prymitywów ciężko strawny zakalec dr. Spasowskiego, druzgocący „w drobiazgi" i niebo i piekło i Watykan i Częstochowę, udowadniający czarno na białem cytatami z... Shawa i Wellsa... że żadnego Boga wogóle nie było i nie będzie, zakalec, swą kolosalną erudycją, świeżo czerpaną z tysiąca dzieł zdolny oszołomić legjony belfrów i suplentów prowincjonalnych, kiedy już nam daje nowe opus Bogoburcze koleżanka Janina Barycka (czy nie od Cezarego Baryki nazwisko?), oparte li tylko na „dokumentach" i „faktach", w najciemniejszem świetle prezentujące cały kler polski od dołu do góry. Od czasów wyjścia broszury donny Lebenbaum — Sierzputowskiej nie było dzieła tak bezlitośnie stwierdzającego (względnie denuncjującego) „nieblagonadiożnost", kramołę antydyktatową, „odchylenia od generalnej linji" i buntownictwo naszego kleru. Wedle definitywnych konkluzyj koleżanki Baryckiej (od Baryki?), cały kler jest antysanacyjny, antyautorytatywny, liberalniczący, antimilitarny, antipaństwowy, czego dokumentami dowodzi, i co pokornie do stóp składa Janina Barycka. W walce z Ciemnogrodem i z ponurymi siłami wstecznictwa ona zgłasza się i staje pierwsza.

Zanim rozżartą i rozwrzeszczaną jejmość zczeszą i spacyfikują kompetentni, pozwalamy tu sobie zwrócić uwagę do czego to Francję doprowadzili tacy Spasowscy i takie Baryckie i ta cała „L'Ecole Liberatrice i te syndykaty i kongresy belfrów i bakałarzy masońskich i te ministry wyznań i oświaty, Synowie Wdowy, Panamczyki i porubczyki (à la de Monzie) i takie ich faworyty, jak ten okazowy, symboliczny:

„Gaston Bonnaure, député, président de la Fédération des Jeunesses laïques republicaines de France" (według biletu wizytowego)

szantażysta, kubaniarz, kryminalista, Stawiskiego kompan, do parlamentu wprowadzony przez E. Herriota, tego samego, który w r. 1916 zaklinał Polaków, aby uwierzyli słowom manifestu Wielkiego Kniazia M. Mikołajewicza (sic!). Przygotowuje grunt na przyjęcie przyszłego polskiego Gastona Bonnaure Cyklopowaty Spasowski i toruje drogę przyszłemu polskiemu „president de la Fédération de Jeunesses laiques' wiedźmowata w swej furji koleżanka Barycka. Na użytek i benefis młodych komsomolców idzie ta cała wysoko z góry podbechtywana i przez polskich de Monzie suflerowana generalna dyffamacja biskupów i... proboszczów.

NIE MAURIAC JEDEN!

A jaka równocześnie jest postawa naszego świata piszącego, literatury nadobnej?... Francja ma przeciwwagę do zbrodniczej akcji Bonnaurów i „Synów Wdowy" z ul. Cadet w całej plejadzie świetnych i słynnych powieściopisarzy, dramatystów, poetów i essayistów, ofensywnie katolickich. Nie Mauriac jeden! (A może kiedyś dojdzie się do przekonania, że Mauriac... najmniej). Ten głęboki chrześcijanin coś jakoś z zanadto niechrześcijańską pasją przyciska do ściany i dręcząc pastwi się nad niedoskonałością człowieczeństwa... katolickiego... Ale jest cała piejada innych, może mniej olśniewających i jest przedewszystkiem Bernanos z takimi niezapomnianymi postaciami duszpasterzy, jak płomienny Donissau, jak problematyczny Cenabre, i jak subtelna gaduła proboszcz Lurranes...

Ale miłych proboszczów i księży dawali przecież w swych powieściach i komedjach i pomniejsi beletryści, jak Abel Hermant, jad Lavedan, jak spółka de Flers i Caillavet, jak feljetoniści C. Vautel, jak dawniej Barrés i R. Bazin (autor „Les Oberles"). W beletrystyce Francji wolterjańskiej, combesowskiej, a nawet w herriotowskiej Francji, dość często występował ciepły typ proboszcza wśród bogatych i proboszcza wśród biednych. Oddzielono tam Kościół od państwa, ale nie zdołano literaturze zakazać przypominania... Joanny d'Arc. Ostatnią książką i lekturą umierającego Clemenceau była jednak „Historja Papieży" R. Pastora... Związek katolickich ...aktorów i aktorek francuskich (sic) liczy kilka tysięcy członków!... Respekt, jaki otacza zmarłego Pegouy, Gheona, Claudela, Maritaina równoważy dziś stosunek opinji publicznej do takiej kanalji, jak ten Margueritte, jeden z niezliczonych sutenerów Stawiskiego.

Nie dziwiło też tych, co się ledwie conieco orjentują w literackim Paryżu, gdy Mauriac został w zeszłym roku prezesem „Gens de Lettres", jak znowuż znawców najnowszej literatury nie zaskoczył teraz typ księdza Verne w powieści: „Vieille France"...

U NAS NIE ISTNIEJE.

Proboszcza wśród Polaków w dzisiejszej beletrystyce polskiej niema. Nie istnieje też... na scenie polskiej.

I to jest zastanawiające... oryginalne... ciekawe, no, i zdaje się chyba niepokojące... Jest ksiądz Ardouin u Mauriaca („Gniazdo żmij), jest ksiądz Brown u Chestertona, „dodatnie" sylwety popów u Ałdanowa (Landaua), i sympatyczne pastory u Niemców i Skandynawów. W nowej powojennej beletrystyce polskiej ani śladu. Czyżby Boy Mędrzec z Krakowa przegnał ich swoim caduceusem? O „fioletowej jarmułce" pono raz gdzieś pogardliwie wspomina najwspanialszy gryzipiórek naszej ery krakowskiej, Bandrowski - Kaden - Juljusz. W nowelach polskich nigdzie, w powieści ani na lekarstwo. Czyżby katolicyzm nie odgrywał żadnej roli aktywnej w naszem życiu duchowo moralnem? Czyżby duchowieństwo zostało odsunięte od wszelkiej ingerencji w życie świeckich ludzi majowej ery? Czyżby więc istniały zawiązki czy zalążki jakiejś może religji nowej?...

. Tak! Jest zarys nowej religji, już niejako opartej na fundamentalnych dziełach obywatela Spasowskiego i koleżanki Baryckiej.

POD CZARNE SKRZYDŁA.

Że zasię pod te czarne skrzydła opiekuńcze kadenacko - bandrowskie przeszła lub przechodzi z dnia na dzień cała głodująca literatura, więc tem też należy tłumaczyć, że postać... proboszcza, księdza, wogóle osoby duchownej, jako niepożądana (źle widziana) tak w beletrystyce, jak i na scenie świeci swą wymowną nieobecnością...

Natomiast faworyzowaną, umiłowaną, wezwaną i wybraną postacią młodej beletrystyki jest ktoś inny.

I tu znów idą inicjacje z tego Krakowa, z którego wywodzi się Boy, „Tajny Detektyw", Dziadosz i Kaden. Niech ktoś, kogo zaciekawia ta „zatruta studnia" Polski, zestawi sobie z tamtejszej „Gazety Literackiej" to, co swego czasu pisali tam K. Homolacs i Koniński. Potem niech przeczyta prusyjoński manifest S. Pusłowskiego. A potem niech go porówna z tu omawianą powieścią p. Rusinka. Przekonamy się wtedy, że tak jeden, jak i drugi krakowski autor otwierają swe serca i roztkliwiają się tylko nad jednym, nad „najbiedniejszym", „bezradnym", „na pośmiewisko wystawionym, najnieszczęśliwszym." Nie jest nim już ani „bandos" Żeromskiego, ani „komornik" Orkana, ani tonący w bezmiarze nędzy chłop czy robociarz polski, ale tylko i wyłącznie żyd biedny.

I dzieje się i pisze się to wtedy, kiedy... Paul Morand, we „France la Doulce" rzuca na papier galerję konterfektów semickich criminaloidów...: Jacobi Kaltrich, Sacher, i kiedy Martin du Garde w „La Vieille France", szkicuje postać ewangelicznego proboszcza Verne. Nadto: O'Neill i inni...

CZYJA WINA?

Pozostaje teraz do przedyskutowania sprawa ważna: ile jest w tym stanie, bądźcobądź bezecnie anormalnym w piśmiennictwie naszem... winy... Polaków, a ile znów winy... proboszczów..., że niema proboszcza wśród Polaków w dzisiejszej literaturze odrodzonej, państwowej Polski.

To już atoli jest problem całkiem poważny, wobec czego niech zabierają głos inni..

E. Bohowiczowa

Wiwulski w Wilnie w r. 1916

Artykuł Wandy Miłaszewskiej p. t. „Wiwulsio" odnowił w mej pamięci obraz przeżyć Wilna i grona zebranych tam w roku 1916 „uciekinierów", grupujących się około wybitnego artysty, twórcy pomnika grunwaldzkiego w Krakowie i świątyni pod wezwaniem Serca Jezusowego w Wilnie.

Spotykaliśmy się na zebraniach tygodniowych u hr. Marty Krasińskiej, przebywającej tam wówczas również chwilowo. Zebrania te gromadziły towarzystwo wileńskie, oraz goszczącą przelotnie w murach Wilna inteligencję, przybyłą ze wszystkich stron kraju. Wieczory, spędzane w kręgu światła małej lampy naftowej, w nastroju jakgdyby konspiracyjnym, zostawiły po sobie w umysłach wszystkich uczestników trwałe wspomnienie, zwłaszcza ze względu na zrozumiały w owym momencie stan napięcia nerwowego.

Atrakcję stanowiły wiadomości, komunikowane sobie wzajemnie z terenów wojny, atrakcją była osoba prof. Szelągowskiego i jego pogadanki na tematy aktualne, wreszcie pociągała osoba Wiwulskiego, który był tam stałym gościem. Mały, drobny, z bardzo interesującym wyrazem jasnych oczu, w góralskim kożuszku, nie lubił, by na niego zwracać uwagę. Jednak, wyróżniany przez gościnną panią domu, stał się ośrodkiem zainteresowania całego grona.

Pielgrzymki do pracowni rzeźbiarza były celem miłych wycieczek, a zapoznawanie się z planami twórcy stanowiły coraz większą atrakcję. Bardzo ciekawy i piękny projekt bazyliki w stylu neoromańskim, budowany z betonu, interesował nas wszystkich. Obserwowaliśmy rozwój budowy, prowadzonej z wielkim pietyzmem pod kierunkiem osobistym projektodawcy, który chętnie o tem rozmawiał, a nawet wprowadzał ciekawych na olbrzymie rusztowania, aż pod sklepienie, aby wyjaśnić zasadnicze podstawy konstrukcji architektonicznej.

Całe dnie spędzał Wiwulski na rusztowaniach, lub też w małej, obok kościoła umieszczonej „lepiance", która służyła mu również za mieszkanie. Tam pracował nad planami wieży i ołtarzy. Przepiękny był projekt ołtarza: „Zdjęcie z krzyża". Wiwulski zwierzał się raz z kłopotów, wywołanych brakiem modelki do postaci Magdaleny. Jakże się ucieszył, gdy przyprowadziłam mu śliczną blondynkę, pannę B... uczennicę mojej szkoły muzycznej!



Baranek wielkanocny Wiwulskiego

Życie towarzyskie, jakie odrywało go niekiedy od pracy, obowiązywało też do pewnych ofiar na cele społeczne. Wielkanoc w roku 1916 zastała w Wilnie liczne zastępy biedy. Na czele prac społecznych i filantropijnych stanęła ks. Michałowa Ogińska. Prace jej w tym kierunku zasłużyły na wdzięczne utrwalenie. Dość zaznaczyć, że z chwilą wybuchu wojny zorganizowała i prowadziła dwanaście różnych ratowniczych instytucyj na terenie Wilna, głównie przeznaczonych dla bezdomnych uchodźców. Otóż Wiwulski przyszedł z chętną i ofiarną pomocą, dając na „święcone" dla najbiedniejszych całą kolekcję swego pomysłu i wyrobu ślicznych baranków w gipsie. Rozkupiono je po rublu za sztukę. Baranki miały dumnie podniesione główki. Wiwulski mówił bowiem, że są to „baranki triumfujące, baranki już wolnej ojczyzny", i spojrzenie mu przytem jaśniało.

Dzisiaj może już niewiele przechowało się tej miłej i drogiej pamiątki, ale dla przypomnienia tak niedocenianej jeszcze postaci artysty warto utrwalić i ten drobiazg, który dla wielu nie będzie może drobiazgiem.

Wiwulski umarł w Wilnie, nie dokończywszy świątyni. Zaziębił się na posterunku, stojąc na warcie. Bazylika straciła swego twórcę. Obecnie wielkie rusztowanie, dominujące naówczas nad Wilnem, zdjęto, a świątynię, chociaż nieukończoną, oddano wiernym.

Mało interesajemy się spuścizną artystyczną Wiwulskiego i mało wiemy o tym ciekawym, uduchowionym i wielkiego talentu rzeźbiarzu. Warto więc zwiedzić zapomniany kościół, warto zapoznać się z pięknemi planami wieży i ołtarzy, wywieszonemi wewnątrz świątyni. Kto i kiedy podejmie się zrealizowania całości? Kto i kiedy ukończy wspaniałe dzieło śmiałego i b. indywidualnego artysty?

Wilno złożyło hołd pamięci Wiwulskiego: na bocznej ścianie kościoła umieszczono płaskorzeźbę (dłuta Balzakiewicza), z której wyłania się doskonale uchwycona sylweta przedwcześnie zgasłego artysty. Na dużej kamiennej płycie wyryto napis:

ś. p. Antoni Wiwulski,
ur. 7 lutego 1877 r.
zm. w styczniu 1919 r.
Artysta-rzeźbiarz-architekt. Twórca projektu tej świątyni. Służył wiernie i pięknie. Syn tej ziemi — w walce o jej wyzwolenie poległ na posterunku.